



**Marcin
Adamkiewicz**

KŁĄTWA JEZIORA

Marcin Adamkiewicz

KŁĄTWA JEZIORA

© Copyright by Marcin Adamkiewicz & e-bookowo

Korekta i skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan +AI

ISBN e-book: 978-83-8166-415-8

ISBN druk: 978-83-8166-416-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2024

PROLOG

Galindia - prowincja pruska Przed podbojem krzyżackim

Słońce tonęło już w zachodniej tafli jeziora Śniardwy. Zaczęło się już robić chłodno, ale grupka chłopców pluskających się przy brzegu nie miała zamiaru kończyć zabawy. Rozmawiali głośno i często nawoływali swojego mniejszego kolegę, który stał bliżej brzegu i niepewnie przesuwając ręką po tafli jeziora.

– No dalej, Apus! – krzyknął wysoki chłopiec o złotych włosach i błękitnych oczach. – Jak nie wejdiesz głębiej, to powiem wszystkim w *lauksie*¹, że boisz się wody! Ha, ha, ha!

– Co ty, Apus? Jesteś królik?

– Nie! On jest kotem! Kot też się boi wody! Jak go polać to pierzcha jak łania!

Chłopcy posyłali koledze coraz to nowe obelgi, świetnie się przy tym bawiąc. Ten zaś łapał się za łokcie i przestępował z nogi na nogę, próbując przekrzyczeć ich śmiechy swoim wątlm głosem.

– Nie boję się wody, wy wieprze! Ja tylko...

¹ Po prusku dosłownie „wies”.

– Dorge! Ale masz brata! – Kędzierzawy rudzielec poklepał z pobłażaniem przyjaciela. – No nie wiem, skąd on się wziął. To pewnie jakaś klątwa ciężąca na twojej rodzinie.

– Żadna klątwa Angzdris! – Obruszył się błękitnooki. – Apus zaraz ruszy się z miejsca i podejdzie tam gdzie kończą się szuwary.

– Ale mi się kręci w głowie! – bronił się rozpaczliwie chłopiec.

– Jesteś tchórzliwy jak niewiasta i tyle!

– Nie wejdę!

– Jasne, idź czep się matczynej spódnicy! – zawołał trzeci chłopiec, niezwykle szeroki w barkach i atletycznej budowy. – Tak robi moja siostra, jak mysz zobaczy!

– Nie jestem niewiastą!

– No to wejdź do wody – powiedział Dorge.

Apus sapnął, przestąpił z nogi na nogę i zrobił krok do przodu. Słońce zanurzyło się już do połowy w jeziorze. Wiatr wzmógł się, smagając mokre ciała. Chłopcom zaczęło być zimno, ale nikt nie dawał tego po sobie poznać, a już najmniej Apus. Jedyne cienkie nitki mięśni drgające pod skórą zdradzały uczucie chłodu.

– No, no – powiedział Dorge, gdy chłopiec ich mijał. – No, prawie jak mężczyzna.

Twarz Apusa była zacięta. Widać było, że walczy sam ze sobą, ale nie mógł się już wycofać. Kroczył po dnie w stronę

przesmyku między szuwarami, za którymi jezioro rozlewało się we wszystkie strony, przytłaczając swoim ogromem.

Odpychał się póki było płytko, ale niższy od reszty chłopców szybko musiał zacząć płynąć, by utrzymać głowę na powierzchni. Szuwary kończyły się w miejscu, gdzie było już naprawdę głęboko. Za głęboko dla nich wszystkich. Dorge popatrzył na przyjaciół. Po ich twarzach przesunęło się powątpiewanie. On też pomyślał, że nierozważnie wyznaczył bratu tak niebezpieczną próbę.

– Apu... – chciał krzyknąć, ale duma zacisnęła mu gardło. Stał, w napięciu patrząc na brata. Nie myślał, że może się coś stać. Nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Słońce opuszczało się już niemal całe w wodną głębinę i wokół chłopców powstała szarówka. Wysokie tataraki rzucały długie czarne cienie na sfaldowaną powierzchnię wody.

– Apus! Dosyć! Wracaj! – wykrzyknął w końcu Dorge. Chłopiec płynął jednak dalej. Nie słyszał go lub nie chciał słyszeć.

– Apus! Już późno!

– Hej! Apus! – przyłączyli się chłopcy.

– Dobra! Jesteś mężczyzną! Apus! Wracaj!

Chłopiec dopłynął już na miejsce. Zamachał jeszcze kilka razy rękoma i zaczął triumfalnie wyskakiwać nad powierzchnię wody. Patrzyli na niego, raz po raz nawołując. Odwrócił się do nich, uderzył raz i drugi rękami o wodę,

by złapać równowagę. Patrzył na nich, a w niknącym blasku słońca widać było, że się uśmiecha. Wybił się mocno z wody i uniósł prawą rękę w geście zwycięstwa. Wtem, coś, jakiś wielki biały kształt wynurzył się z pluskiem ze wzburzonej tafli jeziora, zwałił na chłopca jak grom na młodą jabłoń, po czym zniknął w odmętach białej piany. Woda zabulgotała, ale zaraz znowu porwał ją monotony rytm fal. Jezioro było puste, jakby nigdy nie było na nim żadnego chłopca.

Nawoływania ustały jak ucięte nożem. Młodzieńcy spojrzeli po sobie twarzami białymi jak oblicza trupów, a włosy stanęły im dęba. Trwali tak przez chwilę sparaliżowani, aż Dorge wydał z siebie szaleńczy krzyk. Z tym krzykiem na ustach rzucił się w stronę granicy szuwarów. Dotarł tam w jednej chwili, ale po Apusie nie pozostała nawet zmarszczka na wodzie. Koledzy popłynęli zaraz jego śladem. Dorge miotał się przez chwilę, nie wiedząc co począć, po czym dał nura w głębinę. Słońce jednak już prawie zaszło i świat powoli zaczął ogarniać mrok. Woda była już ciemna i mętna. Kędzierzawy ruszył w jego ślady, ale zaraz obaj się wynurzyli.

– Już po nim! – krzyknął rudy.

– Wielka Żeminele²! Apus! Apus! – Dorge miotał się w wodzie jak oszalały. Dał jeszcze raz nura w odmęt i raz jeszcze przyjaciele musieli przyjść mu z pomocą.

Mrok postępował z każdą chwilą.

² Pruska bogini ziemi, jedno z najważniejszych bóstw pruskiego panteonu.

– Już po nim! – powtórzył Angzdriś, ciągnąc Dorge za ramię. – Już po nim! Teraz my musimy się ratować, bo sami potoniemy!

– Apus! Apus! – krzyczał bezradnie brat. Miotał się jeszcze, gdy przyjaciel chwycił go za piersi i zaczął holować w stronę brzegu.

ROZDZIAŁ I

Wiatr gnał po niebie wielkie białe chmury, raz po raz przesłaniając nimi słońce. Szerokie korony dębów i grabów tańczyły posłusznie pod jego powiewem, napełniając las szumem. Dwóch jeźdźców przemierzało ostępy, sunąc po miękkim poszyciu z liści i omijając młode osiki i brzozy. Było ich dwóch, ale prowadzili też dwa konie, mocno obciążone jukami. Mężczyźni byli młodzi, obaj ubrani w *wilnisy*³. Ten, który jechał z przodu miał opaskę na czole i pierścien na palcu, więc prawdopodobnie był panem. Drugi miał włosy związane rzemieniem. Plamy sadzy i kurzu na twarzach i ubraniach świadczyły, że mieli ciężką noc.

– Będzie zmiana pogody – powiedział ten jadący z tyłu. – A my oddaliśmy się od domu.

– Co mówisz, Nage? – spytał towarzysz.

– Mówię, że pod wieczór, a najdalej jutro, będzie padać. – Pochylił się w siodle, poprawiając dosiad. – Jak, *rikjis*⁴, masz zamiar wrócić do domu?

– Naokoło.

– Jesteśmy po drugiej stronie jeziora, a do tego jeszcze coraz bardziej się od niego oddalamy.

³ Kapoty, koszule. Rodzaj tuniki rozciętej pośrodku, posiadającej poły jak marynarka.

⁴ Dosłownie „pan”.

– Nage, nie znasz tej okolicy?

– Nie, *rikjis*. Moja ojczyzna jest na północy. Ale słyszałem, że Tałty sięga jeszcze daleko na południe. I żeby przepłynąć je całe trzeba dwóch, albo trzech dni.

– Byłem w tych stronach jako dziecko. Idąc wzdłuż tego brzegu dojdziemy do jeziora Śniardwy. Tałty wpada do niego wąską odnogą. Przepawimy się przez nią, a potem jeszcze raz już na nasz brzeg Tałty. A wtedy będziemy już w domu.

Nage się skrzywił.

– Taka podróż zajmie dwa dni, a możemy w niej postradać łup na dziesięć różnych sposobów. Trzeba nam było uciekać na jezioro jak Aks.

– Tak – przyznał *rikjis*. – I jak Ragingis... I jak Tims; i Trazde; i Waiks; i jak cała reszta. Nie widziałeś, co się działo? Wszyscy uciekli na jezioro. A ci, którzy przeżyli w *buttan*⁵ za nimi. Widziałeś przecież, jak Entensits został ugodzony strzałą. Kto wie ilu z nich przeżyło.

Nage znów zawiercił się w siodle.

– Wybraliśmy najlepszą drogę Nage. Popatrz! Nikt nas nie ściga. – I krzyknął jakby chciał potwierdzić swoje słowa. – Złupiliśmy wielkie *buttan* nad jeziorem! I nikt nas nie ściga!

⁵ Dosłownie „dom”, ale po polsku trafniej byłoby to przetłumaczyć jako „dwór”. Prusowie mieszkali w dużych kompleksach mieszkalnych, na które mogło się składać nawet kilkanaście budynków. Domy wolnych, służby, stodoły, obory, spichlerze, osobne budynki do suszenia zboża i wypiekania chleba. Kompleksy takie nierzadko były otoczone palisadą. Kilka *buttan* składało się na *lauks*.

Rikjis roześmiał się gromko, jak ktoś, kto dokonał wielkiego czynu i zaczął śpiewać starą pieśń o Linge i jego wybrance Dor. Nage nic już nie mówił, pięli się po coraz bardziej stromym zboczu, a krajobraz zmieniał się wokół nich. Dęby i graby ustępowały powoli miejsca sosnom, a poszycie z listowia rzedło przykrywane coraz częstszymi plamami mchu i turzyc. W lesie sosnowym było jaśniej i trochę cieplej, ale i wiatr był mocniejszy. Teren był tu płaski, więc pojechali szybciej, jednak nim z niego zjechali, chmury na niebie zdążyły już zgęstnieć. W miarę jak teren opadał, sosny znów zaczęły ustępować miejsca grabom. Ziemia znów stawiała się podmokła. Wkrótce stanęła przed nimi ściana tataraku, oznajmiając, że nie oddalili się tak bardzo od jeziora, a przynajmniej od długich macek jego bagnisk.

– A niech to *welis*⁶ porwie! Mógłby trafić się jakiś *buttan* to chociaż spytalibyśmy o drogę!

– *Rikjis*.

– Co?

– Co zrobisz z łupem?

Pan uśmiechnął się półgębkiem.

– Poślę ojca do starego Klakisa i kupię sobie średnią z jego córek. Wezmę trochę ziemi i wybuduję swoje *buttan*. A potem...

– *Rikjis*! – syknął Nage.

– Co znowu!?

⁶ Duch, dusza zmarłego. Tu czort, zły duch.

– Tam. Za drzewami.

Młody pan powiódł za palcem sługi i od razu zrozumiał, co ów ma na myśli. Na małej polanie niedaleko nich leżała kupa skór oraz jakichś sprzętów, których nie mógł dobrze zobaczyć. Zaciekawiony, pognął konia w tamtym kierunku. Na skraju polany, na wyściółce z szynszyli, lisów i kun, leżały miecze, rogi okute srebrem, wyszywane *wilnisy*, solniczki, fibule, srebrne naczynia, trzewiki, włócznie, kaptorgi, koszule i wiele, wiele innych przedmiotów, a wszystkie cenne z powodu samej swej funkcji lub ze względu na materiał, z którego zostały wykonane, lub kunsztownie zdobione, lub wreszcie posiadające wszystkie te cechy na raz.

Rikjis uśmiechnął się szeroko i spojrzał pytającym wzrokiem na Nage, który również nie krył zadowolenia i tak jak pan dziwił się tak miłej niespodziance, która ich spotkała. *Rikjis* rozejrzał się dookoła i zsiadł trochę niepewnie, wręcz nieśmiało. Jeszcze raz rozejrzał się, jakby szukał właściciela tego skarbu. Widząc, że wokół nie ma nikogo, podskoczył do skór i zaczął pakować przedmioty za pazuchę. Nage wyciągnął z juków jakąś zrabowaną koszulę, ułożył ją na trawie i zaczął pakować w nią fibule, kiedy nagle uświadomił sobie, co to jest.

– *Rikjis!* – krzyknął. – To pogrzeb!

Istotnie, według pruskiego zwyczaju, gdy umarł wielki pan, jego rzeczy rozkładano na drodze w nierównych działach. Wszyscy, wolni mieszkańcy *lauksu* zbierali się w tym

czasie na wyścig. Kto pierwszy dopadł stosu przedmiotów, ten brał je w posiadanie. Najcenniejsze ruchomości nieboszczyka rozkładano zawsze najdalej od jego domu, tak, że najambitniejsi śmiałkowie musieli ścigać się najdłużej, by ich dopaść. Teraz nasi bohaterowie stali niewątpliwie przy takim stosie. Pan zastygł na chwilę. Z połami szaty wypchanymi srebrem wyglądał jak parodia Odyna w Jul, który za morzem rozdaje ludziom podarki. Nie mógł się zdecydować, co ma zrobić, kiedy z głębi lasu doszedł go tętent końskich kopyt.

– *Rikjis!* – niemal krzyknął Nage. – W nogi! Jeśli nas tu złapią, to my martwi.

Młodzian opróżnił swój *wilnis* tak szybko, jak go napełnił, a następnie jednym susem wskoczył na konia, ale jeźdźcy byli coraz bliżej. Nie ujdą niezauważeni, zwłaszcza z parą obciążonych łupem koni, a jeśli złapią ich w czasie ucieczki to tak jakby krzyknęli „Gorąco chcieliśmy was okraść, aleśmy na to za głupi!”. Tak czy siak, pałka w plecy. Nie. Nie mogą teraz uciec. Rozgardiasz, który uczynili nie ujdzie niczyjej uwagi.

„Myśl, Mestinklinie”, młodzian ponagli się w myślach, „bo inaczej nie ujdiesz z tego z głową.”

– Nage! Wyrzuć głowę!

Sługa zrozumiał od razu. Podjechał do jucznych koni, odwiązał z juków skórzany wór przesiąknięty krwią, w którym wojownicy wieźli swoje trofea i cisnął go mocno w las. Spomiędzy paproci dojrzeli już zarysy pędzących postaci.

Rikjis wyprostował się w siodle, wygładził poły swojego *wil-nisu*, by zetrzeć ślad po wszelkiej zdobyczy i nakazał, by Nage stanął obok niego.

Szli niemal równo, jeden dalej od drugiego o koński łeb. Ten dalszy wyciągnął nagle zza pasa pałkę i zamachnął się na pędzącego przed nim. Wtedy jednak spostrzegł jeźdźców na polanie i porzucił ten zamiar. Pierwszy też ich zobaczył, ale nie zwolnił nawet na chwilę. Wpadli na polanę niemal równocześnie. Pierwszy zarył koniem trawę i sam dobył pałki, którą miał za pasem.

– Ktoście wy?! Przyszliście ukraść skarb! Mówcie, albo łby rozwalę!

– Wy padalce! Psie juchy! – Przyłączył się do niego rywal. – Zsiąć z koni i gadać!

Mestinklin nawet nie drgnął. Siedział wyprężony w swoim siodle i patrzył na tamtych wzrokiem dumnym, ale bez pogardy.

– Szlachetni *rikijai*⁷! – przemówił głośno i pewnie. – Zwę się Mestinklin, syn Biliego, a to mój sługa, Wargaks, zwany Nage. Przybyliśmy do was z daleka, by handlować. – Delikatnym ruchem głowy wskazał na juczne konie. – Ale widzę, że nie trafiliśmy na właściwą porę. Jeśli któryś z was to krewny zmarłego, niech przyjmie ode mnie wyrazy współczucia.

– Pięknie świergotasz, ptaszku – powiedział ten, który przyjechał drugi. Był to człowiek słusznego wzrostu, ale

⁷ Panowie.

bardzo szeroki, tak, że jego ciało miało kształt prostego kloca. Miał przy tym okrągłą małą głowę, z której wystawały małe niebieskie oczy. Jasne włosy miał obcięte równo nad czołem, jakby ktoś nożem odrysował garnek. Żadną miarą nie można było uznać go za ładnego. – Ale nic ci to świergotanie nie pomoże, bo zaraz zwiążemy ci ręce i na postronku powieziemy do Siribut, a tam wszyscy zdecydują co z wami zrobić.

– Po co ich wiązać?! – spytał ten drugi i spojrzał na kompana. – Zabić na miejscu! A ich towarem się podzielimy. Co ty na to, Paust?

– O nie! To złodzieje, a przy tym obcy. Mój stryj musi złożyć ich w ofierze bogom. Tak nakazuje prawo.

– Tak. I ich skarby też musi złożyć w ofierze bogom – powiedział ten piękniejszy z niesmakiem i odwrócił wzrok. Był dużo przystojniejszy niż jego kompan. Miał długie, rude falujące włosy. Był smukły, dobrej budowy, a jego bystre oczy i zakrzywiony nos przywoływały na myśl orła.

– Nie kpij sobie z bogów, Ila! – powiedział brzydki głosem kaznodziei. – Bo ściągniesz gniew na nas wszystkich.

Mestinklin uznał, że trzeba działać. Ściągnął z szyi brązowy, druciany naszyjnik i brązową bransoletę z ręki.

– Nie jesteśmy złodziejami, *rikijaj*. Na dowód naszych dobrych chęci, przyjmijcie te dwa wspaniałe dary, które zakupiłem od kupców na dalekim zachodzie.

– Twoje ozdoby ściągnę z twego trupa – warknął Ila. – Nie ma co czekać, bo zaraz nadjedzie reszta i dopiero zacznie się draka. Zsiadać z koni!

Mestinklin poczuł, że nie ma już ratunku. Nawet jeśli by zabili tych dwóch, na co były pewne szanse, to przecież zaraz nadjadą inni i z Nage nie wyjadą z tego lasu żywi. Uznał więc, że trzeba zagrać tą jedyną kartą, którą miał jeszcze w rękawie – dumą.

– Dobrze, szlachetny *rikjís* – zwrócił się do rudowłosego. – Skoro wasze prawo każe składać kupców w ofierze! Niech i tak będzie. Wiedźcie, że Mestinklin, syn Biliego, nie zna lęku. – Zsiadł z konia, a Nage poszedł w jego ślady. Z wyrazem dumy na twarzy spojrzał gdzieś w leśne ostępy. – Martwi mnie tylko jedno. – Teraz spojrzał Ili prosto w oczy. – Jak udowodnisz kompanom, że jako pierwszy dotarłeś na polanę i skarb tobie się należy?

Zawodnicy spojrzeli po sobie i zagryźli wargi. Mestinklin ciągnął dalej.

– Ja i mój sługa, możemy poświadczyć, żeś był pół konia prędzej przybył do skarbu. Prawda Nage?

– Ma się rozumieć, *rikjís*.

– A bez nas? Cóż dam sobie uciąć tę prawicę, że twój rywał uzna się za zwycięzcę i nie zawaha się przejść do rękoczynów, bo widziałem jakeście jechali, że chciał ugodzić cię pałką w plecy...

– Ty mendo! On kłamie, żeby wyłgać się od śmierci! – Paust wrzasnął z taką furią, że aż koń pod nim zatańczył.

– Jesteś psim kłakiem – wycedził Ila przez zaciśnięte z gniewu zęby. – Ugodzić mnie w plecy w czasie wyścigu?! Zawsze wiedziałem, żeś kanalia! Nie daruję ci tego, Paust! Tym razem się pomszczę i twój stryj cię nie ochroni!

Tymczasem na polanę wpadli inni uczestnicy wyścigu. Dziwiąc się zastałej sytuacji, nie spoglądali na skarb, ale podjeżdżali bliżej i pytali, co się dzieje. Paust zaczął wykrzykiwać, że oto przyłapali dwóch złodziei, Ila znowu zaczął zadawać mu kłam, że oto dwoje kupców przyjechało na targi. Ludzie dziwili się, zwłaszcza że kupcy byli brudni i osmoleni. Nikt nie wiedział, co się właściwie dzieje.

Wszyscy zapomnieli o skarbie, z którego, jak się potem okazało, zginęło kilka mniejszych przedmiotów. W końcu Ila podjechał do Mestinklina i wziął od niego naszyjnik i bransoletę. Wojownicy odetchnęli z ulgą. Podniósł ozdoby wysoko i powiedział.

– Ci ludzie są moimi gośćmi! Każdy, kto zechce ich tknąć będzie miał do czynienia nie tylko ze mną, ale wszystkimi z Siribut. A teraz zabieram wygrany przeze mnie skarb mojego ojca i wszystkich zapraszam na ucztę!

* * *

Kiedy usiedli na ławach w przydzielonej im izbie, poczułi jak spada z nich ciężar przeżyć. Nieprzespana noc, podróż i przygoda na polanie dały się im we znaki. W drodze do *buttan* też nie próżnowali. Wszyscy uczestnicy wyścigu chcieli wiedzieć, kim są, skąd się wzięli na polanie i czemu wyglądają, jakby cudem wyszli z pożogi. Na te wszystkie pytania Mestinklin odpowiadał dokładnie i ze szczegółami, łgając przy tym jak z nut. Ludziom musiała się jednak spodobać jego opowieść, bo słuchali w skupieniu, raz po raz wydając z siebie okrzyki uznania. Nage dzielnie wspierał pana w dziele mydlenia wszystkim oczu, tak że, nim dojechali do Siribut, wszyscy wokół byli ich przyjaciółmi i nie mogli się doczekać, aż zobaczą ich towary. Ledwie oparli głowy na czymś twardym, usnęli jak niemowlęta.

Gdy się zbudzili, był już wieczór. Na własnych jukach rozłożonych koło paleniska znaleźli dwa zupełnie nowe i świeże *wilnisy*, a obok balię z wodą. Bez zastanowienia umyli się i przebrali.

– Jestem głodny jak wilk – powiedział Mestinklin, zapinając poły *wilnisu*. – Mam nadzieję, że uczta jeszcze trwa i goście nie rozjechali się do domów.

Spojrzał wymownie na Nage. Ten zajęty wiązaniem *wilnisu*, nie od razu zrozumiał, co jego pan mówi. Ponaglony spojrzeniem wstał i wyszedł pośpiesznie. Gdy wrócił, po chwili powiedział:

– W domu Ili jest kilku gości i cały czas przepijają do siebie i nieboszczyka.

– Wyśmienicie – powiedział Mestinklin, rozwiązując juki i rozkładając ich zawartość. – Teraz pomóż mi wybrać podarek dla naszego wybawcy.

– Podarek?! – zdziwił się Nage. – Dostał już bransoletę i naszyjnik od ciebie, *rikjīs*. Nie za dużo tych podarków?

Mestinklin podniósł głowę znad jednego z tobołków i uśmiechnął się szeroko.

– Lepiej by było, żebym tobie dał podarek, co?

– To byłaby wielkoduszność godna ciebie, *rikjīs* – powiedział sługa i spuścił wzrok, ale w jego oczach wciąż paliły się isierki.

– Trzymaj! – odparł i rzucił mu oprawny w brąz i róg nożyk.

– Dzięki ci, *rikjīs*! Wszyscy twoi przodkowie radują się w Grodzie Umarłych z takiego potomka.

– Daj już spokój! Zostaliśmy przyjęci jak członkowie rodziny. Musimy odwzajemnić się Ili, żeby móc spędzić tu kilka dni, a potem spokojnie wrócić do domu. Siadaj i rozwiązuj juki!

– To nie wygląda jak kupiecki kram. – Pokręcił głową Nage.

Istotnie, rzeczy, które po ciemku złupili w *buttan*, nie były tak cenne jak wydawało się to w łunie pożaru. Do tego nie przypominały towarów kupców, którzy przywozili głównie rzeczy luksusowe. Otóż w jukach były: brązowe zdobione misy, brzytwy do golenia, sierpy dla jeźdźców do ścinania

trawy, wór owsa, dwa małe worki żyta, dwa garnce miodu, kilka noży w brązowej oprawie, trzy uprząże jeździeckie, trzy pary strzemion, drewniana stępa do owsa, dwa rogi do picia, w tym jeden oprawny w srebro, dwa naszyjniki z drutu, siedem pierścieni (w tym jeden z palcem), komplet tabliczek tkackich, trzy amulety z szabli dzika, złamana włócznia, dwa wzorzyste kilimy, trzy koszule, *wilnis* i spory zwój płótna.

– Hm – zamyślił się Mestinklin. – Dajmy mu róg w oprawie.

– Chyba żartujesz, *rikjis*!

– A czemuż to?

– Róg to najcenniejszy z naszych łupów! Nie godzi się go od tak oddawać.

– Ty go nie dostaniesz! – odciął się pan. – Więc się tak nie unoś.

– Daj mu, *rikjis*, uprząż i parę strzemion.

– Wykluczone! Zbyt dobry ze mnie jeździec, żeby rozstawać się z taką zdobyczą.

Gdy tak się sprzeczali, nie zauważyli, gdy do izby wszedł sługa. Niewolnik poczekał, aż goście raczą go zauważyć i powiedział, że skoro wstali *butta rikians*^s, zaprasza ich na stypę po swoim ojcu Siriskasie. Tamci odparli, że właśnie się na nią wybierają i niewolnik znikł za drzwiami.

– Damy mu parę strzemion i koniec – stwierdził Mestinklin.

– Ale chyba nie tych platerowanych?!

^s Dosłownie „Pan Domu”. Chodzi o Ilę.

Spis treści

Prolog	4
Rozdział I	9
Rozdział II	49
Rozdział III	79
Rozdział IV	125
Rozdział V	161
Rozdział VI	188
Rozdział VII	206
Rozdział VIII	239
Epilog	264